

2 lutego 2009



Odwiedzamy Kresy Wschodnie

Mieszkańcy województwa świętokrzyskiego chętnie odwiedzają Kresy Wschodnie II Rzeczypospolitej. Jak mówią pracownicy biur podróży, Majorka, Egipt, czy Paryż przestały być w ostatnim czasie szczytem marzeń, za to wielu z nas coraz chętniej wybiera Litwę, Ukrainę, Rosję lub Łotwę. Rozmowa z Marianem Orlińskim, podróżnikiem, członkiem Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich.

Mieszkańcy województwa świętokrzyskiego chętnie odwiedzają Kresy Wschodnie II Rzeczypospolitej. Jak mówią pracownicy biur podróży, Majorka, Egipt, czy Paryż przestały być w ostatnim czasie szczytem marzeń, za to wielu z nas coraz chętniej wybiera Litwę, Ukrainę, Rosję lub Łotwę. Rozmowa z Marianem Orlińskim, podróżnikiem, członkiem Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich.



Marian Orliński – aktywny członek Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, wierny miłośnik „Trylogii” Henryka Sienkiewicza, zakochany we Lwowie, Zbarażu, Kamieniu Podolskim, Winnicy, Wilnie, Grodnie, Nowogródku i dziesiątkach innych miejscowości Kresów.

- Dlaczego właśnie Kresy?

Marian Orliński: – Myślę, że przede wszystkim dzięki Sienkiewiczowi. Kiedy byłem w szkole podstawowej pasjami czytałem „Trylogię”; wyobraźnia podpowiadała mi – zresztą słusznie – że to muszą być tajemnicze, piękne ziemie. A do tego nazwy miejscowości, które pojawiały się w tych powieściach; wszystkie polskie, wszystkie brzmiące swojsko, bliskie sercu.

- Aż przyszły wyjazdy...

Marian Orliński: – Tak. Zaczęło się w połowie lat osiemdziesiątych, poprzez dziewięćdziesiąte i... trwa do dziś. Byłem wtedy współwłaścicielem biura podróży i organizowałem wyjazdy na wschód. Uczestnicy nazywali je wycieczkami, ale proszę mi wierzyć, że z eksplorowaniem historii, czy architektury Kresów miały niewiele wspólnego. Były to najczęściej wyjazdy handlowe; po dzinsy, gumowce, konserwy rybne, drobne narzędzia rolnicze... Jednak właśnie w 1986 roku zdarzył się wyjazd do Lwowa; był to oczywiście jeszcze Związek Radziecki, a my chcieliśmy bardzo zobaczyć Cmentarz Orłąt. Niestety, na Cmentarz Łyczakowski wpuszczali, a na Orłąt nie, bo go jeszcze zwyczajnie nie było w takim kształcie jak dziś. My oczywiście tam poszliśmy, bo wiadomo, że tam, gdzie zakazują – Polak wejść musi. Miejscowa przewodniczka udała, że nic nie widzi, ukradkiem pokazała nam drogę przez krzaki. Weszliśmy... i przeżyliśmy szok. Było to jedno wielkie pobojuwisko: chaszcze, śmietnik, barbarzyństwo. Tam gdzie są obecnie przepiękne kolumnady i groby najbardziej zasłużonych, urządzono sobie zakład kamieniarski. Nagrobków nie spotkaliśmy w ogóle tylko 5- 6 krzyży leżących w krzakach...

- Na szczęście historia sprawiła, że wyjazdy na handel w tamte strony okazały się zbędne. Kiedy zaczął pan

odkrywać Kresy?

Marian Orliński: – Któżś dnia do drzwi mojego biura zapukał Jarek Leszczyński. Jako pasjonat Kresów szukał agencji gotowej zorganizować taki wyjazd. I tak się stało. Mimo, że jako biuro nie wyszliśmy na tym finansowo najlepiej, to jednak grupa wróciła z tej eskapady z gorącymi głowami; wszyscy byliśmy zaszczepieni tą niesamowitą atmosferą, kulturą, architekturą. Wszyscy też zapisali się natychmiast na podobny wyjazd na drugi rok, nieważne gdzie pojedziemy, czy będzie to Ukraina, Litwa albo Białoruś. I pojechaliśmy na Litwę. Tak już zostało; Jarek Leszczyński każdego roku obmyślał inną trasę, zbieraliśmy się w około trzydziestoosobowej, niemal niezmiennej grupie i zwiedzaliśmy. Litwa, rumuńska Bukowina, Białoruś, Rosja, całe Karpaty ukraińskie przeszliśmy na piechotę... Chodziliśmy śladami sienkiewiczowskich bohaterów, Adama Mickiewicza... Ja byłem tak odurzony tymi niesamowitymi stronami, że w efekcie zapisałem się do Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. O tych naszych wyprawach stało się z czasem dosyć głośno i zaczęło się pojawiać coraz więcej osób zainteresowanych wycieczkami turystyczno-krajoznawczymi. Więc już jako „Gold Tour” organizowaliśmy takie wyjazdy; myślę zresztą, że byliśmy wtedy jednym z pierwszych biur w Polsce, które się tym zajęło.

- Mówi się, że aby poznać siebie, swój kraj, a nawet swoją lokalną „małą Ojczyznę”, trzeba czasami spojrzeć na nią z zewnątrz. Czego pana nauczyły te eskapady na Kresy? Czego dowiedział się pan o regionie świętokrzyskim? Marian Orliński: – Przede wszystkim zburzyły parę rozpowszechnionych mitów na temat niebezpieczeństw związanych ze zwiedzaniem ziem wschodnich. Lwów i Wilno to jedne z najspokojniejszych miast w których zdarzyło mi się być. Podobnie z ludźmi; jeśli ktoś z nas pogubi w tamtych stronach drogę, zawsze może liczyć na pomoc. Przygarną, wytłumaczą, pomogą. Te wyjazdy uświadomiły mi też jak historycznie wiele nas łączy z Kresami. Np. w Mariampolu pochowany jest błogosławiony Jerzy Bolesław Matulewicz-Matulaitis, generał i odnowiciel zakonu marianów. W dwudziestym roku życia wstąpił do Seminarium Duchownego w Kielcach, po jego ukończeniu dalej uczył się we Fryburgu i Petersburgu, a w latach 1902-1904 wrócił do Kielc i już jako rektor dalej nauczał w Seminarium. Dziś jest patronem parafii na osiedlu Świętokrzyskim w Kielcach. Z kolei na Cmentarzu Łyczakowskim znalazłem wiele nazwisk osób związanych z naszym województwem, a w Katyniu odkryłem kilkanaście tabliczek naszych żołnierzy pochodzących z Opatowa, Stopnicy, Buska Zdroju, Kielc. Poprzez uczestnictwo w Towarzystwie odkryłem też, że w samych Kielcach mieszka sporo osób mających kresowe pochodzenie – choćby np. profesor Massalski, który wywodzi się z Polaków ukraińskich. Przypomnę ponadto, że w przypadku Kielc historia zatoczyła swoje koło; Teatr Polski ze Lwowa wystawił w Kielcach w ubiegłym roku „Wesele” Stanisława Wyspiańskiego. Aktorzy wystąpili w strojach, które czterdzieści lat temu otrzymali jako dar z naszego Teatru im. Stefana Żeromskiego. Historia dziwnie się układa...